

łała żywo markiza. — Co ty myślisz? Wyznawać jeszcze komu swą winę?

— Auroro, błagam cię, pozbadź się złudzeń. Patrz przed siebie: przyszłość jest ciemna, lecz jeszcze nie straszna.

— Lecz gdzie ty kogo znajdziesz, ktoby mnie wybawił? — odrzekła niecierpliwie pani Morailles. — Czyśmy już nieraz tej myśli szalonej nie odrzucały?

— Boś ty nie chciała nigdy nie wysłuchać.

— Gdzie widzisz tych przyjaciół w nieszczęściu? Czy nie dość niebezpieczeństwa mi grozi? Czyż nie zawisł jeszcze nademną złowrogi los? Jedną miałabym tylko osobę, lecz jej niema; pani Seymour nie opuściłaby mnie. Najmniejszej jednak wieści o niej nie mam.

— Mogę ci dowieść — odparła Joanna — że znam czysty, szlachetny, bezinteresowny charakter, któremu możesz zaufać bez obawy. Przecież wreszcie będziesz potrzebowała pomocy.

— Mam nadzieję, że w tych chwilach życie swe zakończę — ze smutkiem odpowiedziała markiza.

— Nie masz prawa tak mówić. Twoje dziecko, wymagać będzie twej troskliwości macierzyńskiej.

— Moje dziecko... które? — zapytała markiza, a w głosie jej dzwiesel niepokój.

— Które, pytasz się?... Nie Andrzej, który znajdzie opiekę dla siebie, lecz to, co żyje pod twoim sercem; nie żądało ono przyjsia na świat, lecz domaga się już teraz twego oddania się.

Ciężkie milczenie zaległo. Słowa Joanny odniosły skutek. Po dłuższej chwili odezwała się markiza nieprzekonana jeszcze zupełnie.

— I ty znasz kogoś, ktoby mógł mi przyjść z pomocą?

— Znam kogoś o niepokonalnej energii, który choć wiekiem młody, dał już dowody niezwyklej siły duchowej i fizycznej. Ty znasz już tę osobę, rozmawiałaś z nią, jest to moja przyjaciółka Wiera Nespow.

— Ta młoda panna?

— Ta młoda kobieta, która ułoża chorych badała życie i śmierć, która zdobyła sobie poważanie najslawniejszych chirurgów i lekarzy, kobieta, która będąc w ciągłym kontakcie z cierpiącym człowiekiem, zgłębia smutek, wstyd, występek, by za pomocą wiedzy swej leczyć to. Ta kobieta nie jest już młoda panną.

— I co ona może mi poradzić?

— Podtrzyma cię swoją energią i wszystko, co tylko człowiek swoją inteligencją i umiejętnościami zrobić potrafi, ona to uczyni, by cię wybawić.

— A więc dobrze, zgadzam się, przyprowadź ją.

Słowa te markiza wymówiła głosem naturalnym, zwykłym wielkiej damie, przyzwyczajonej do rozkazów. Lecz Joanna potrzaskała przecząco głową.

— Czy nie zgodziłabyś się Auroro, byśmy same poszły do niej na pierwszy raz: nie można obudzać w niej podejrzenia, że jesteś tylko pacjentką, sownie wynagradzającą za okazane sobie usługi. Zresztą, ona nie leczy ludzi bogatych; podejrzewam, że jest także rewolucjonistką, jak wiele jej rodaczek. Twoje tytuły i bogactwa nie będą grały żadnej roli w jej poświęceniu się; w tobie będzie widziała tylko osobę potrzebującą pomocy.

— Dobrze, uprzedź ją w takim razie o naszym przyjściu.

I Wiera okazała się istotnie taką, jaką ją przedstawiła Joanna. Przyjęła markizę Morailles nie jak arystokratkę, lecz jak osobę potrzebującą pomocy i dobroci ludzkiej. Naprzód zbadała jej stan zdrowia.

— Wszystko idzie bardzo dobrze — odezwała się — spodziewam się, że nie będzie żadnych komplikacji. Uważam to za cud, że nikt jeszcze nie nie poznał. Lecz co pani robi, by ukrywać swój stan do końca? Czy pani nie może wyjechać za granicę, szukać tam dla siebie schronienia?

— Nie, zaczęłyby się wtedy poszukiwania, podejrzenia. Nie, nie mogę uciekać.

— Pani pozwoli mi powiedzieć, że te uczucia są bardzo piękne i szlachetne, lecz ja ich nie rozumiem. Co pani winna swemu mężowi? — zupełnie nic. Co pani winna dziecku? — absolutnie wszystko.

Ośmielę się i to powiedzieć, że dla mnie nie istnieje macierzyństwo haniebne, tajemne, lub jakieś urzędowe; jest tylko jedno święte macierzyństwo, które każdy człowiek jednakowo winien czcić. Nikt nie może pani osądzać; pani sama jest sędzią swego postępowania, pani jedyna zna przyczyny swych postępów i nikt nie może pani ganić. Słowa moje zadziwiają panią?

— Słowa takie, ja po raz pierwszy słyszę, najdroższemu jednak dla mnie jest to, że pani mnie nie potępia — odezwała się markiza i wyciągnęła rękę do Wierzy, która ją serdecznie uściskała.

— Czyż pani nie jest wolnym człowiekiem? Czyż pani może kto zabronić wyjechać w podróż? Czyż ma pytać się pani o pozwolenie, gdy uda się do Ameryki? Czego pani się obawia? — że wysłę za panią agentów tajnych? ja podejmuję się zmylić ślady tak, by pani nie odkryli. Ja potrafię uwolnić cię od szpiegów! — słowa te wymówiła Wiera z jakimś specjalnym akcentem nienawiści. — A czy nie lęka się pani, że mąż po powrocie może zapragnąć na nowo wspólnego życia?



— Mów Auroro! Powiedz mi wszystko! O, jak ty jesteś nieszczęśliwą!

— Na gwałtowny ruch młodej kobiety, dotkniętej tą myślą, Wiera odpowiedziała:

— Wierzę, że pani do tego nie dopnie, lecz czy nie może w jego myślach powstać jakie podejrzenie? Zresztą nadejdzie chwila, gdy pani będzie musiała na jakiś czas usunąć się. Chociaż, jeżeli zajdzie tego potrzeba, będę mogła oddać go z Paryża.

Pani Morailles przestraszyła się tych słów młodej Rosyanki. Co ona chciała przez to wyrazić, jakimi środkami może tego dokonać?

— Życie i zdrowie pana Morailles nie mogą na chwilę nawet być zagrożone! — zawołała poruszona.

— Niech pani będzie spokojna — odpowiedziała ze złe ukrywaną ironią Wiera. — Jego zdrowiu i życiu nie grozi żadne niebezpieczeństwo, postanowiłam tylko wyprowadzić panią z tego przykrego położenia, w jakim pani się znalazła. Czy pani ufa mi jako lekarzowi i przyjacielowi?

— Tak.

— A więc dobrze: gdy nadejdą najtrudniejsze dni, Joanna mnie powiadomi. Proszę dać mi teraz słowo, że gdy ta chwila nadejdzie, pani zawierzy mi się zupełnie.

— Daję je!

— Będzie pani posłuszna moym wskazówkom i pójdzie pani za mną tam, dokąd ją zaprowadzę?...

— Czy konieczne są te zastrzeżenia?...

— Niezbędne! Uczynię dla pani, czego nie zrobiłabym dla nikogo innego, lecz nie chcę, by oprócz pani, Joanny i mnie, był jeszcze ktoś inny w to wnieszany. Chodzi o zupełną tajemnicę.

— Oddaję się pani najzupełniej — odpowiedziała markiza — pokonana głosem Wierzy, pełnym powagi i dobroci.

— A co pani zamierza uczynić z dzieckiem? Trzeba postanowić coś zawczasu.

— Jak najmniej chcę rozłączać się z dzieckiem.

— Jest to jak najniebezpieczniejsze.

— Lecz to mi tylko dozwala sumienie.

— Czy za żadną cenę nie zgodziłaby się pani oddać go do domu podrzutków.

— Ach, cóż za straszna myśl!

— Nie nastaje na to. Pozostaje w takim razie oddanie go mamce na wieś. Niema innych środków. Przy pierwszym podejrzeniu, zaczęłoby nas śledzić: musi pani postanowić, iż przez dłuższy czas nikt z nas nie będzie dziecka oglądał.

Teraz okazała się szlachetność duszy Joanny, która pokonała wszelki opór Aurory. Może odpowiedzieć, że dziecko to jest jej kuzynów, którzy wyjechali daleko do Azji.

— Markiz nie zna mojej rodziny, nigdy nie widział mej kuzynki, nie wzbudzi więc to w nim żadnych podejrzeń.

Radość pani Morailles, zadowolonej z takiego postanowienia, przewyciężyła wszelkie zarzuty, jakie stawiała jeszcze Wiera. Wkrótce nadejechał markiz, opowiadając o swej podróży bez słowa wspomnienia o Laurze Dianti. Aurora przyjęła w milczeniu słowa męża, zimna i obojętna, nie czyniąc mu żadnych wyrzutów. Markiz nie dostrzegł nic, nie czynił żadnych usiłowań, by wieść życie wspólne. Po dawnemu małżonkowie zajmowali swoje apartamenty, nie widując się prawie wcale; w rzadkich tylko chwilach markiz odwiedzał swą żonę, anonsując się przedtem przez służącego.

Zbliżała się decydująca chwila. Dzięki szczęśliwemu losowi, markiz postanowił wyjechać na trzy tygodnie na polowanie do swej rodziny na prowincji. Ta okoliczność pozwoliła markizie pod pozorem wyjazdu do la Roche-Forte opuścić zupełnie swobodnie pałac. Służący kupił jej bilet pierwszej klasy do Fontainebleau, lecz jak tylko się oddalił, Aurora nabyła drugi bilet do Villeneuve-Saint-Georges, gdzie wysiadła.

Była noc: nikt nie zwrócił na nią uwagi. Przed dworcem oczekiwał samochód, w którym siedziały Joanna i Wiera. Zawróciły do Paryża. Przez oszklone okna zamkniętego z powodu chłodu samochodu, migły tylko przydrożne drzewa, małe domki z bladymi światłkami, potem fortyfikacje Paryża, wreszcie aleje jakiegoś ogrodu.

którego brama otworzyła się niewidocznie i zaraz zamknęła z wielkim trzaskiem. W końcu alei wysiadły.

— Czy może pani przejść pieszo kilkadziesiąt metrów? — zapytała Wiera.

— Aurora podziękowała za pomoc w podtrzymaniu jej za rękę, jaką chciała jej okazać Joanna, i poszła naprzód. Po przejściu przez ogród znalazły się przed małym pawilonem, którego drzewi pod ręką Wierzy otwierały się bez szmeru. Zakreśliła guzik przewodu elektrycznego i pani Morailles ujrzała, iż znajduje się w pracowni malarskiej, wszędzie porozwieszane były płótna, palety leżały na ziemi.

— Gdzie jesteśmy? — zapytała, drżąc całą i starając się nie zdradzić z swym lękiem.

— Sza! — odpowiedziała Wiera, kładąc palec na ustach. — Przysięgam ci, że nie pytań... Czy chce pani tutaj odpocząć, czy też zaraz ułokować się?

— Chodźmy... niech pani poprowadzi — wyszeptwała markiza.

Lampa elektryczna zagasała: drogę oświecała Wiera jakimś nikłym światłem.

— Tędy, proszę uważać na schody.

(Ciąg dalszy nastąpi).